

Jadwiga Niewiadomska

Moje wspomnienia z lat okupacji na Kresach Wschodnich 1939-1945

Niepodległość i Pamięć 6/1 (14), 175-188

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jadwiga Niewiadomska

Moje wspomnienia z lat okupacji na Kresach Wschodnich 1939-1945

Kresy Wschodnie to miejsce mojego pochodzenia. Tu mieszkali moi Rodzice, Dziadowie i Pradziadowie. Tu upłynęło moje dzieciństwo, na które, w dużej mierze, przypadły okupacje: sowiecka i niemiecka.

Okupacje na Kresach, o których chcę pisać, to świat oglądany oczami dziecka, wchłaniany jego wrażliwością, utrwalony w pamięci człowieka dorosłego.

Wstęp

Przedwojenne Kraśne n/Uszą to mała miejscina na Kresach Wschodnich malowniczo wciśnięta między łagodne, lesiste pagórki Wyżyny Białoruskiej.

Tędy płynie zakolami rzeka Usza miejscami obmywająca brzeg piaszczystej plaży, to znów ginała w zaroślach, by nagle wyłonić się urwistym brzegiem i dalej toczyć swoje wody przez pachnące od kwiecia łąki. Z racji położenia miasteczko zaiste godne swej nazwy. To już pogranicze Rzeczypospolitej. Do Mińska - stolicy Białorusi tylko 40 km, do granicy - 20 km.

Charakterystycznym akcentem miasteczka jest, usytuowany na wzgórzu, kościół katolicki ze strzelistą, gotycką wieżą, jak również, ukryta za parkanem i drzewami, kopulasta cerkiew prawosławna, przycupnięta nie opodal drogi. Malowniczy też widok tworzy tzw. "Góra Bony", na której, wśród drzew, rozsiadł się stary rozłożysty dwór. Obok cerkwi, trochę pod górkę, prowadzi droga do drewnianych budynków szkoły.

Cała reszta Kraśnego to parterowe, drewniane domy skupione, w większości, po obu stronach drogi.

Mimo swojej, zdawałoby się, znikomości, przedwojenne Kraśne tętni pełnią życia. Tędy przebiegają linia kolejowa i droga, łączące Mińsk z Wilnem, mające znaczenie strategiczne, co dało się odczuć później, w czasie działań wojennych. Dużo zapewne urozmaicenia wnosi, stacjonujący nie opodal, Korpus Ochrony Pogranicza, który w Kraśnym ma swój Klub Oficerski - miejsce rozrywek i balów tutejszej inteligencji.

Mieszkańcy Kraśnego to w dużym procencie Żydzi, trudniący się drobnym handlem i białoruscy chłopci, Polacy natomiast to przewaga inteligencji i okoliczne ziemianstwo. Ta narodowościowa mozaika absolutnie nie zakłóca zgodnego i harmonijnego współżycia. Miejscową inteligencję stanowią: nauczyciele, lekarze, aptekarz, weterynarz, mecenas, kierownik poczty... oraz oficerowie i ich rodziny, jak również ksiądz i pop. Z tego grona jednym z najbardziej czynnych zawodowo i aktywnych społecznie, jest mój ojciec - kierownik szkoły - syn ziemianina wygnanego po rewolucji z Pińsz-

czynny, uczestnik wojny z 1920 r., w okresie międzywojennym odznaczony wieloma medalami i krzyżem zasługi. W pamięci mojej, a z chwilą wybuchu wojny miałam 6 lat, utrwaliła się niepowtarzalna atmosfera bezpowrotnie już utraconego świata.

Te radosne Święta Bożego Narodzenia z ogromną aż do sufitu choinką przystrajaną mnóstwem łakoci i ręcznie robionych ozdób, z prezentami oraz dziecięcym balikiem w Kasynie Oficerskim.

Te prawdziwe wiosenne Wielkanoce, kiedy na przepięknie przystrojonym stole, w sąsiedztwie pisanek, stał ogromny sękacz a na półmisku leżało smakowite, nadziewane prosię. Święta wiązały się zawsze z dużą ilością gości i jak sobie przypominam, przy stole, na czołowych miejscach, naprzeciwko siebie, siedzieli katolicki ksiądz i prawosławny pop. Żydzi natomiast, na swoje Święto Paschy, przynosili Rodzicom macę, wyrażając tym swój szacunek i przywiązanie. Trzeba przyznać, że praktyczny, spontanicznie wyrażany ekumenizm był tu rzeczą zupełnie naturalną.

Rodzice, ogromnie zaangażowani w swojej pracy nauczycielskiej, mieli też czas na rozrywki, jak: odwiedziny, bale, kuligi, kino, wyjazdy do wileńskich teatrów, a życie towarzyskie kwitło tu w pełni.

W czasie wakacji, już całą Rodziną, odwiedzaliśmy Babcię w Augustowie lub Dziadka i Stryja w folwarku Bohdanowo. Jeździliśmy również do Wilna. Pamiętam szczególnie atmosferę tego miasta kojarzącą się z zaciszem zaułków i zielenią, jak również z odgłosem lekko uderzających po bruku, kopyt końskich oraz krzykliwych i natarczywie zapraszających do swoich sklepów, Żydów. Głęboko wrył się w pamięć obraz Pani Ostrobramskiej - wspaniałej królowej, otoczonej różnorodnymi wotami.

Tu po raz pierwszy byłam w ZOO i w cyrku oraz zapamiętałam ogródkowe restauracje z tonącymi w zieleni stolikami.

Na zakończenie wstępu chciałabym jeszcze wspomnieć moją kochaną Wercię - miejscową dziewczynę, przyjętą na służbę, z którą spędzałam większą część dnia, a która była dla mnie najczulszą opiekunką. Wkrótce ten świat miał już odejść na zawsze. Szybkimi krokami zbliżała się straszliwa wojna.

I okupacja sowiecka

Jest 1 września 1939 roku, mam 6 lat. Zapada zmrok. Drzwi między sypialnią a pokojem stołowym są otwarte. W łódeczku leżę już ułożona do snu, ale nie śpię. Z pokoju stołowego, gdzie Rodzice słuchają radia, dobiega tragiczny głos spikera nadającego bez przerwy wojenne komunikaty. Rodzice przerażeni, spadło to na nich jak grom z jasnego nieba.

Ojciec wkrótce zostaje zmobilizowany i wyrusza do jednostki wojskowej.

Następnie z pamięci wyłania mi się dzień 17 września i dni po nim następujące. Już wszędzie sowieckie wojsko. Mama wychodzi z domu aby zorientować się jaka jest ogólna sytuacja i co dzieje się w miasteczku. Przynosi np. takie wieści, że sowieccy oficerowie, oszołomieni widokiem pełnych sklepów, co tylko mogą to wykupują dziwiąc się zasobności sklepów i możliwością kupna bez przydziału i kartek. Ogląda też taki obrazek: oficer niosący w dłoniach, jak największy skarb, kapiące posoką, solone śledzie. Któregoś zaś z kolejnych dni wpada do naszego domu sowiecki oficer rozkazując Mamie, aby przygotowała coś do zjedzenia. Zanim Mama wróciła z kuchni z jajecznicą, oficera już nie było a wraz z nim zniknął, pozostawiony na toaletce w sąsiednim pokoju, złoty zegarek.

Nie pamiętam już z jakiego powodu, zjawił się też u nas wojskowy politruk. Wypytywał o różne rzeczy i z wielkim zaciekawieniem i onieśmieleniem oglądał miesz-

kanie. Kiedy zobaczył, stojącego na kredensie, ceramicznego pelikana, trzymającego w dziobie wykałaczki, najpierw zapytał do czego służą te patyczki, a kiedy Mama mu wyjaśniła - kręcił ze zdumienia głową, uśmiechając się aż wreszcie wypalił, że są to "burżuazyjne priedrassudki" (tzn. burżuazyjne przesady).

Był też taki dzień, kiedy Mama wróciła do domu niezmiernie zdenerwowana i wzburzona. Otóż na ulicy spotkała żydowskie małżeństwo - lekarza i dentystkę - przed wojną będących w bardzo dobrych stosunkach z Rodzicami, wręcz zabiegających o ich względy. I właśnie oni, na widok Mamy zwracającej się do nich ze smutkiem i łzami, odwrócili się, udając, że nie znają i między sobą zaczęli głośno rozmawiać po rosyjsku. To właśnie oni należeli do tej części żydowskiej ludności, która zachowała się nielojalnie wobec Polaków, ale byli też inni - o czym później.

Znaleźli się też miejscowi komuniści, choć to był niewielki margines, którzy brali czynny udział w przekształcaniu posiadłości ziemskich w sowchozy.

Po zdemobilizowaniu wraca Ojciec, opowiada o swoich przeżyciach, mnie zaś utkwił w pamięci fragment o tym, jak to w środek ciężarówki, pełnej enkawudnistów, trafił potężny pocisk - była to wielka satysfakcja dla stojących na przegranej pozycji, polskich żołnierzy. Po umocnieniu się sowieckiej władzy zaczęto wprowadzać terror. Ojciec zostaje aresztowany.

Zimą zaczęły się wywózki - na pierwszy ogień poszły rodziny wojskowych osadników, licznie osiadłych na tych terenach. W następnej kolejności wywożona jest polska inteligencja - w tej grupie znalazła się, zaprzyjaźniona z Rodzicami, młoda nauczycielka - szkolna harcmistrzyni. Ojciec mój jednak, po pewnym czasie, zostaje z więzienia zwolniony i wraz z Mamą, otrzymuje polecenie przystąpienia do pracy w, na nowo zorganizowanej przez Sowietów, szkole. Oboje przecież świetnie znają rosyjski język. Kierownictwo szkoły obejmuje młody człowiek, którego wraz z kilkoma nauczycielami, przysłano gdzieś z głębi Rosji. On właśnie zajmuje nasze mieszkanie przy szkole, nas zaś eksmitują do innego budynku. Wbrew przewidywaniom, sowiecki "dyrektor" - jak go tu nazywano, okazał się niegłupim i względnie ludzkim człowiekiem.

Ojciec, zgodnie ze swoją specjalnością, uczy przedmiotów ścisłych w starszych klasach. Mama natomiast, specjalistka od klas początkowych, lekcje swoje, tak jak przed wojną, prowadzi bardzo obrazowo, posługując się różnymi pomocami. I właśnie "dyrektor" to docenił - swoim nędznym i zastraszoną nauczycielkom - Rosjankom kazał przychodzić na Mamy lekcje, słuchać i uczyć się. Wiedza ich bowiem ograniczała się właściwie, do ściśle zaprogramowanej w podręcznikach szkolnych. Rodzice, mimo że są bardzo potrzebni w szkole, po pewnym czasie, dowiadują się, że jesteśmy umieszczeni na liście do wywózki. Pamiętam, a było to na wiosnę 1940 r., jak Mama, płacząc, pakowała rzeczy. Ja też zaczęłam pakować swoje lalki i misie i byłam ogromnie zdziwiona dlaczego Mama płacze - przecież podróż to taka wspaniała rzecz. No, ale na szczęście, do tej "wspaniałej podróży" nigdy nie doszło, a stało się to dzięki miejscowemu aptekarzowi narodowości żydowskiej - panu Gilbertowi.

Sowieci na Kresach, po wkroczeniu, często powierzali różne stanowiska właśnie Żydom. Nie pamiętam jakie dokładnie stanowisko zajmował wtedy pan Gilbert, ale widocznie na tyle wysokie, skoro interweniując w NKWD zdołał odroczyć parę razy naszą zsyłkę na Syberię.

Należał więc do tych Żydów, którzy mimo współpracy z Sowietami, starali się bronić Polaków.

A oto jeszcze kilka obrazków z pierwszej sowieckiej okupacji. Jedną z młodych sowieckich nauczycielek bardzo polubiła moją Mamę i starała się z nią zaprzyjaźnić.

Pamiętam, że często do nas przychodziła, wszystkiemu uważnie przyglądała się, słuchała i widocznie zaczęła prawidłowo oceniać co jest naprawdę warta sowiecka propaganda. Była jednak ogromnie zastraszona, ale Mamie na tyle zaufała, że kiedyś poprosiła o zamknięcie się w pokoju, w obawie przed podsłuchem, i zaczęła zwierzać się. Płakała, opowiadając o straszliwej nędzy, o tym jak swemu ojcu wysyła sól, bo w Rosji i tego brakuje, ojciec, zaś jedyną swoją żywicielkę - krowę karmi zimą zbieranym i suszonym latem, końskim nawozem.

W ramach represji zaczęły się też prześladowania religijne. Nabożeństwa w kościołach i w cerkwi wprawdzie odbywały się, ale trzeba było nie lada odwagi aby tam pójść nie narażając się sowieckiej władzy.

Pamiętam jak w dzień Bożego Ciała, stosując wszelkie środki ostrożności, przedzieraliśmy się opłotkami do kościoła z Dziadkiem, który pod połą płaszcza ukrywał koszyczek z kwiatami. Podczas procesji odbywającej się w obrębie kościoła, byłam jedyną dziewczynką, która sypała kwiatki przed Najświętszym Sakramentem. I to tyle, co udało mi się zapamiętać z pierwszej sowieckiej okupacji.

Okupacja niemiecka

22 czerwca 1941 roku - dzień napaści Niemiec na ZSRR - pamiętam dość dokładnie. Była to niedziela, pogoda wspaniała. Ojciec zorganizował rodzinny wypad do lasu. Zabraliśmy ze sobą różne wspaniałe wiktuały, które Mama przywoziła wtedy z Wilna.

Mimo smutnej rzeczywistości, dzień minął bardzo przyjemnie. Wracamy do domu skróconą drogą przez tory a tu zatrzymuje nas strażnik i kieruje do miasta przez dworzec kolejowy, informując, że wybuchła wojna i przez tory chodzić nie wolno.

Noc i następny dzień trwały bombardowania, siedzieliśmy w piwnicy i kiedy na chwilę wyrzaliśmy na zewnątrz, zobaczyłam spadający, wlokący za sobą ogon dymu, strącony samolot.

Sowieci uciekali w popłochu czym się dało.

Mieszkaliśmy wtedy przy głównej drodze. Od przejeżdżających czołgów drżała ziemia i w naszej kuchni od tych drgań spadł z półki ciężki, mosiężny moździerz.

Po niedługim czasie wkroczyli Niemcy.

Ostrożnie wyglądamy na ulicę i coś widzimy?

- Stojące pancerne pojazdy, weseli, pewni siebie niemieccy żołnierze i witające ich kwiatami białoruskie dzieci, obdarowywane z kolei przez żołnierzy słodyczami.

Ludność białoruska, w większości, witała Niemców z radością, jak wyzwolicielei.

Rozpoczęła się nowa, zupełnie odmienna, okupacja.

Przenieśliśmy się z powrotem do naszego drewnianego mieszkania przy szkole. Ponieważ do szkoły należał duży sad i ogród oraz kawałek pola i zabudowania gospodarcze, Ojciec z Dziadkiem założyli normalne gospodarstwo.

Była krowa, świnie, ptactwo domowe, uprawialiśmy ogród i pole. To była podstawa naszego utrzymania.

Uprawiane były buraki cukrowe, z których Ojciec otrzymywał gęsty, ciemny syrop, zastępujący - nie do zdobycia wtedy - cukier. Z tłuszczu zaś produkowane było mydło dla własnego użytku, jak również stanowiło dobry towar w handlu wymiennym z okolicznymi chłopami. Budynki szkolne przeznaczone były na miejsce postoju dla, wciąż podążającego na wschód, niemieckiego wojska. Z mieszkania nas nie wysiedlono, ale musieliśmy oddać jeden pokój na kwatery dla oficera. Początkowo kompanie i oficerowie zmieniali się często. Utkwił mi w pamięci fakt, że kiedy przyjeżdżała no-

wa kompania, to na placu szkolnym (oczywiście w okresie letnim) najpierw odbywało się ogólne "pucowanie" i golenie a dopiero później zabierano się do jedzenia. W Kraśnem nie miało nigdy swojej siedziby gestapo, nie odczuwało się więc tutaj szczególnych represji, w porównaniu nawet do sowieckiej okupacji, nastąpiło duże odprężenie.

Żydzi, po pewnym czasie, jak zresztą wszędzie, zostali umieszczeni w getcie. Pamiętam, że nosili na piersiach żółte gwiazdy a poruszać się mogli tylko jezdnią. W wielkiej tajemnicy przychodzili nieraz do Ojca, zwierzali się i prosili o radę co mają robić w tej okropnej sytuacji.

Inteligencji w Kraśnem zostało niewiele - częściowo została wywieziona, częściowo wyjechała sama. Natomiast właściciele ziemscy, którzy w jakiś sposób ocalili przed zsyłką wracali do swoich posiadłości.

Nie było tu żadnego konspiracyjnego ruchu oporu, od czasu do czasu tylko dawała znać o sobie radziecka partyzantka, co pewien czas wysadzając tory i wznecając pożary.

Ojciec, jako znający język niemiecki, był często wzywany przez Niemców w charakterze tłumacza, do porozumiewania się z miejscową ludnością.

A teraz co do naszych lokatorów - niemieckich oficerów - to zdarzali się różni. Początkowo byli to przeważnie kilkudniowi goście, zmieniający się w tempie posuwania się wojska na wschód. Jedni przychodzili i odchodzili prawie niepostrzeżenie, ale był i taki, który po pijanemu groził bronią i postrzelał cały sufit, na szczęście, tylko w swoim pokoju. Inny znowu, a było to zimą, z pełnym lekceważeniem, siusiał przed domem w śnieg, co spotkało się z ostrym sprzeciwem mojego Dziadka. Ta uwaga ogromnie oficera zdenerwowała i wyzwał Dziadka od "polnisch schwein", chociaż na miano "schwein" to właśnie on zasługiwał.

Później jednak, a był to już rok 1942, w szkole zakwaterowana została kompania, która stacjonowała prawie przez cały rok. W naszym mieszkaniu zjawił się nowy lokator. A zaczęło się to tak. Do pokoju stołowego wszedł młody, wysoki blondyn - oficer w stopniu "oberleutnanta" oraz asystujący mu ordynans i od razu, na wstępie, zaczęło się sprawdzanie czystości. Sądząc, że widoczny na pierwszy rzut oka porządek to tylko powierzchowny blichtr, oficer najpierw laską odchylił, wiszący na ścianie, kilim, podejrzewając, że będzie tam roić się od pluskiew. Ponieważ nic takiego nie dojrzał, kazał ordynansowi odsunąć kanapę w oczekiwaniu na zwały, pod nią, kurzu i tu spotkał go jednak zawód. I wtedy, asystującą przy tym wszystkim Mamę obdarzył pełnym zaciekawienia i sympatii spojrzeniem. Trzeba tu jednocześnie nadmienić, że Niemcy uważali ludzi Wschodu za okropnych brudasów.

Oberleutnant dwojga imion Erwin Gotfryd i nazwisku Bürger, początkowo mało-mówny i z dystansem, później jednak, stopniowo zaczął nawiązywać rozmowę.

Okazało się, że ma 28 lat, jest prawnikiem pochodzącym ze Szczecina i ma tylko matkę, którą uwielbia. Kiedy już całkowicie Rodzicom zaufał, zwierzył się, że jest przeciwnikiem Hitlera, a cała ta wojna jest wielką pomyłką. W postępowaniu z nami, jak również z podwładnymi był bardzo delikatny i kulturalny.

Nieraz oglądałam prowadzoną przez niego na placu musztrę - tak bardzo różnił się od innych, brutalnie postępujących z żołnierzami, oficerów.

Jego ordynans o nazwisku Kalwis - zniemczony Litwin rodem z Kłajpedy - okazał się też bardzo dobrym i uczynnym człowiekiem. Bardzo mnie polubił, a ja na równi obdarzałam go sympatią - była to, spotykana nie raz, przyjaźń między dorosłym mężczyzną i dzieckiem. Również "nasz" oberleutnant coraz częściej zaczął przychodzić do stołowego pokoju i nawiązywać z Ojcem rozmowę, któregoś dnia Mama zaprosiła go na kołduny - znaną wileńską potrawę. Początkowo, sądząc że są to "knedliczki" na

wzór czeskich, za którymi nie przepadał, grzecznościowo wziął sobie na talerz niewielką ilość. Kiedy jednak spróbował i poczuł tzw. "niebo w gębie", zaczął dokładać i z zapalem je konsumować. Odtąd stał się wielkim wielbicielem kuchni mojej Mamy, sam nieraz delikatnie wprasząc się do stołu. Była to rzeczywiście wspaniała, wileńska kuchnia, jako że Mama była rodowitą Wilnianką.

Oberleutnant, jak go nazywaliśmy, z czasem bardzo do nas przywiązał się i stał się prawie normalnym domownikiem. Często wracając ze służby kroki swoje kierował do naszej obszernej kuchni. Podwładni zaczęli go nawet nazywać "Küchen Offizier", gdyż często można było go tu zastać.

Stacjonujący, tak długo na jednym miejscu, żołnierze nudzili się i wpadali na różne pomysły, jak np. ten, kiedy to przebijając się za wieśniaków, na drabiniastym wozie, wyruszyli na wieś. Mówili, że chcą zobaczyć partyzantów; było przy tym dużo śmiechu, ale jaki był wynik tej wyprawy już nie pamiętam. Sielanka jednak nie trwała długo - wkrótce miał nadejść dzień straszliwej żydowskiej tragedii.

Ten dzień zapamiętałam dokładnie.

Właśnie jadłam w kuchni śniadanie, spoglądając w okno. Nasz dom był oddalony od ulicy, którą częściowo zasłaniała cerkiew. I właśnie w tym przesmyku drogi spostrzegłam biegnących w popłochu, środkiem jezdni, ludzi ubranych tylko w bieliznę. Mimo moich, pełnych zdziwienia okrzyków Mama nie zainteresowała się tym, myśląc że to jest po prostu tylko dziecięca paplanina.

Po zjedzeniu śniadania pobiegłam oplotkami, przesadzając żerdzie dzielące ogrody poszczególnych gospodarstw, do mojej białoruskiej przyjaciółki - Wieroczki.

Kiedy na dobre byliśmy już pogrążone w zabawie, zjawia się zdyszany mój Tata i zabiera mnie do domu. Okazało się, że do domu wpadł ordynans Kalwis z wieścią, że do Kraśnego przyjechało gestapo i Ukraińcy, i że będą likwidować Żydów. Bardzo zdenerwowany dopytywał się gdzie ja jestem, a ponieważ nie było mnie w domu, natychmiast kazał Ojcu udać się na poszukiwania. Znając gestapo przypuszczał, że podczas akcji mogą strzelać do każdego biegnącego dziecka posądzając, że jest Żydem.

Nikt z naszej rodziny likwidacji Żydów nie oglądał, ale jak wszędzie, w podobnych okolicznościach, znaleźli się tacy, którzy oglądali to straszne widowisko. Opisywali to w sposób następujący.

Wszyscy Żydzi zostali spędzeni przed stojącą nad rzeką ogromną stodołę. Najpierw musieli rozbierać się do naga, gdyż oprawcy podejrzewali, że w ubraniach znajdują schowane tam kosztowności, następnie każdego kolejno rozstrzeliwano, a trupy na stos do stodoły nosiło kilku wybranych do tego celu innych Żydów. Jednym z wybranych do tego okrutnego zadania był wspomniany wcześniej lekarz - podobno obiecywano mu, że jeżeli dobrze się spisze, to darują jemu i jego rodzinie życie. Oczywiście był to tylko taki żart morderców, kiedy ów lekarz przed stodołą został sam z żoną i córką, kazano im też rozbierać się a uciekającą córkę poszczuto psami. Zastrzeloną żonę i córkę sam zaniósł na stos i tam już pozostał.

Po tym wszystkim stodołę oblano benzyną, podpalono i tak przez kilka dni płonął ten stos ludzkich ciał. Śwąd palących się ludzkich ciał był nie do wytrzymania - trzeba było zamykać szczególnie wszystkie okna i drzwi a był to lipiec i piękna słoneczna pogoda. "Nasz" oberleutnant był tak wszystkim wstrząśnięty i zawstydzony, że przez kilka dni w ogóle nie odzywał się i tylko ze spuszczoną głową przemyczał się do swojego pokoju. Byliśmy wtedy wszyscy bardzo przygnębieni tym okropnym bestialstwem.

W tym czasie dało się też wyraźnie zauważyć, że wojsko dystansuje się od gestapo, a niektórzy swoją niechęć wyrażali otwarcie. Zdarzył się też wypadek samobójstwa żołnierza, ale jaki dokładnie był powód - nie pamiętam.

Po pewnym czasie, kiedy już wszystko ucichło, bawiąc się z dziećmi przypadkowo znalazłam się w pobliżu miejsca zbrodni - oczom naszym ukazała się ogromna góra ludzkich czaszek i kości.

Po tym fakcie "nasz" oberleutnant zaczął snuć przewidywania, że jeżeli Hitler zwycięży to na podobny los, być może będą musieli przygotować się też Polacy. Zapewniał, że on nie da nam zginąć, zabierze do Szczecina, tam otworzy restaurację, a stanowisko szefa kuchni powierzy mojej Mamie. Takie zapewnienia jednak nie mogły być dla nas żadnym powodem do radości.

Nadszedł wreszcie czas, kiedy na froncie wschodnim zaczął załamywać się zwycięski pochód niemieckiej potęgi - przyszedł Stalingrad. Był to początek 1943 r. Zbliżał się też przykry dzień pożegnania z naszymi niemieckimi przyjaciółmi, których skierowano na północny front. Zostali oni dla nas na zawsze symbolem tej lepszej części Niemiec z czasów Hitlera, która zachowała swoje ludzkie oblicze.

Mam do odnotowania jeszcze kilka, jak wydaje mi się ciekawych faktów, dotyczących niemieckiej okupacji a związanych również z wojskiem.

Otóż pewnego razu do Ojca zwrócił się bardzo miły niemiecki żołnierz z prośbą o naukę języka rosyjskiego. Na pytanie Ojca po co mu to jest potrzebne, wyznał że jest komunistą i kiedy skierują go na front - podda się do niewoli i nareszcie znajdzie się wśród "swoich". Ojciec chyba ulitował się nad tym naiwniakiem, zgodził się więc i udzielał mu lekcji. Pamiętam, a było to latem, jak codziennie przychodził po południu, ja zaś będąc przeważnie na podwórzu sygnalizowałam jego nadejście. Wygląd miał bardzo niepozorny: mały, blady, w okularach, w wieczmie za dużych butach, które przy chodzeniu wydawały charakterystyczne szuranie, z powodu czego ochrzciłam go "szmorgaczem". Oczywiście za naukę, Ojciec nie żądał żadnej zapłaty, on jednak chcąc czymś zrewanżować się, kiedyś, po powrocie z urlopu przyniósł jakieś marniutkie koraliki i świecidełka - wszystko, na co było go stać.

Pamiętam też odwiedzającego nas żołnierza, który mówił czystą polszczyzną - był po prostu Polakiem z Poznańskiego. Cieszył się, że może odwiedzać polski dom, brał mnie też na kolana, ja mu jednak powiedziałam, że bardziej podobałby mi się w polskim mundurze, na co on odrzekł, że przyjdzie taki czas, kiedy i on włoży polski mundur.

Zdarzyło się też kiedyś, że na krótki okres, w budynkach szkolnych, zakwaterowano radzieckich jeńców - nędzni i straszliwie wygłodzeni, grzebali w śmietnikach. Patrząc na nich taki żal ścisłał mnie za serce, że co tylko mogłam wynosiłam dla nich z domu do jedzenia. Jeden z jeńców kiedyś wpadł do kuchni - Mama chciała go nakarmić, ale nie zdążyła, bo za nim przybiegł rozjuszony strażnik i bijąc go po głowie pałką, wypędził z mieszkania. Ten widok ogromnie mnie poruszył i przez dłuższy czas nie mogłam uspokoić się.

Na Wschodzie postępował odwrót niemieckich wojsk, nieuchronnie zbliżał się front. Zapamiętany przeze mnie ostatni epizod związany z niemieckim wojskiem dotyczy lotników. Było ich chyba kilkunastu, następnego dnia mieli brać udział w walkach. Zwrócili się do Mamy, co oznaczało rozkaz, aby nakryła im w jadalnym pokoju do stołu. Prowiant i trunki mieli swoje. Jedli, pili, śpiewali przez całą noc - zdawali sobie sprawę, że niejeden z nich idzie na pewną śmierć.

Początek lata 1944 roku - front jest coraz bliżej. Wieczorem widoczna na niebie luna - to płonie zbombardowany Mińsk. Ojciec z Dziadkiem wykopali w ogrodzie rozległy i głęboki dół, do którego w obawie przed pożarem, wyniesiono co cenniejsze rzeczy.

Kiedy na Kraśne spadły pierwsze bomby, Rodzice załadowali konny wóz i na noc udaliśmy się do pobliskiej wsi. Tylko Dziadek postanowił, że zostanie i będzie pilnował dobytku.

Pierwszą noc na wsi spędziliśmy w polu, leżeliśmy mocno przytuleni do ziemi a nad naszymi głowami złowieszczo syczały różnego rodzaju kule i pociski. Kiedy raniem trochę uspokoiło się, poszliśmy z Mamą zobaczyć co dzieje się z Dziadkiem i tu wkrótce znaleźliśmy się na samej linii frontu. Trwały zażarte walki. Widziałam palące się radzieckie czołgi i uciekających z nich żołnierzy. Ogluszał terkot ustawionej w pobliżu "katuszy" i huk bombardujących samolotów. Ziemia drżała i obsypywały się ściany okopu, w którym znaleźliśmy schronienie. Rozpętało się takie piekło, że nawet kury skakały na nas do okopu a mały prosiak wtulił się między nas i autentycznie drżał ze strachu. Krzyczałam: "Pod Twoją obronę uciekamy się..."

II okupacja sowiecka

Po przejściu frontu Kraśne przedstawiało sobą wielkie pogorzelisko. Wraz ze szkołą, spłonęło również nasze mieszkanie. Cały nasz dobytek, przechowywany w dole, rozkradli sowieccy żołnierze. Dziadek stojący na straży tego wszystkiego, starał się bronić mówiąc, że są to rzeczy nauczyciela, który zdobył je swoją pracą. Żołnierze jednak śmiali się mówiąc, że Dziadek kłamie, bo takie rzeczy mógł mieć tylko "burżuj".

Kiedy linia frontu odsunęła się na zachód, Rodzice postanowili, że z resztą dobytku umieszczonego na konnym wozie i przywiązaną do niego krową, udamy się do Wilna, gdzie mieszkała ciotka mojej Mamy a siostra Dziadka. Ruszyliśmy głównym traktem. Widok był zatrważający - po prostu pobojowisko i pogorzelisko. Przeróżające wrażenie robiły na mnie, leżące po obu stronach drogi do góry brzuchami, pozabijane konie.

Podróż była męcząca i pełna niebezpieczeństw. Co pewien czas zatrzymywały nas sowieckie patrole w celu sprawdzenia dokumentów. Spaliśmy gdzie się dało - na polu lub w stodołach.

Kiedy zbliżaliśmy się do Oszmiany, noclegu użyczono nam w dworku, którego właścicielem okazał się lekarz. Zatrzymał on nas tu na dłużej, tak że dopiero jesienią ruszyliśmy dalej do Oszmiany i tu pozostaliśmy. Mieszkanie znaleźliśmy w domu wdowy po przedwojennym pułkowniku, której synowie byli w AK - p. Odochowskiej.

Trudny to był bardzo okres, mieliśmy wprawdzie krowę, ale nic poza tym. Ponieważ wszystkiego wtedy brakowało, Rodzice wpadli na pomysł produkcji domowym sposobem, mączki ziemniaczanej. Później Mama woziła mączkę do Wilna i tam sprzedawała.

Wkrótce zaczęło odradzać się przedwojenne, polskie szkolnictwo, w czym brał udział również mój Ojciec. Ja nareszcie zaczęłam uczęszczać do normalnej polskiej szkoły - była to dla mnie bardzo szczęśliwa chwila. Szczęście jednak trwało krótko - wkrótce zaczęła się brutalna rusyfikacja. Dosłownie z dnia na dzień zmieniono kierownictwo na sowieckie, jak również coraz więcej przyjeżdżało rosyjskich nauczycieli.

Pamiętam ten dzień, kiedy nasz nauczyciel - Polak wszedł do klasy wystraszony, wręcz trzęsący się i powiedział, że od tej chwili będziemy uczyć się w języku rosyjskim, zakazuje się nawet, między sobą, na przerwach rozmawiać po polsku.

Można sobie wyobrazić jak czuliśmy się, bardzo trudno było z tym się pogodzić. Klasa nasza zbuntowała się a sprzeciw nasz wyraziliśmy spędzając cały dzień na wa-

garach. Następnego dnia natychmiast zostaliśmy wezwani przed oblicze nowego "dyrektora", który wrzeszcząc zapowiedział, że jeżeli to się jeszcze raz powtórzy, wyśle nas na roboty do kołchozu.

Z nauki, w tej już sowieckiej szkole, utkwily mi szczególnie w pamięci lekcje z przysposobienia obronnego. My i jeszcze uczniowie V-tej klasy musieliśmy umieć prawidłowo rozebrać karabin, wyczyścić części i na powrót złożyć. Z karabinami na ramieniu, nieraz większymi od nas i bardzo ciężkimi odbywaliśmy na placu wojskową musztrę. Uczyl nas tego wszystkiego młody politruk w wojskowym mundurze.

Był już rok 1945. W Jałcie zapadły decyzje również co do naszych Kresów Wschodnich. Trzeba było wyzbyć się wszelkich nadziei i uświadomić sobie, że miejsca dla nas już tu nie będzie.

Powstał Państwowy Urząd Repatriacyjny (tzw. PUR). Wkrótce też Rodzice zapisali się na repatriację do Polski. Przez pewien czas jednak wahali się, gdyż były obawy, że tych, którzy będą chcieli wyjechać do Polski - skierują na Syberię.

W stosunku do Polaków wzmożyły się represje, zaczęły się masowe aresztowania i wkrótce aresztowano również mojego Ojca. A wyglądało to tak. Ponieważ przygotowanie kąpieli w domu było zbyt kłopotliwe - kąpać się chodziliśmy do łaźni. I właśnie tego popołudnia Ojciec wybrał się do łaźni. Już zmierzchało, kiedy do naszego domu przyszedł młody Rosjanin, przedstawiając się jako urzędnik administracyjny. Robił wrażenie miłego i przyjaźnie nastawionego. Wkrótce zaczął sprawdzać listę lokatorów, wypytując się o każdą z osób. Oprócz Ojca, wszyscy byliśmy w domu. Na pytanie gdzie jest Ojciec, Mama, zgodnie z prawdą powiedziała, że w "łaźni". Ojciec do domu już nie wrócił - aresztowanie nastąpiło właśnie w łaźni.

W domu niewyobrażalna rozpacz.

Ojca osadzono w więzieniu śledczym w Wilejce. Mama często jeździła wtedy do więzienia z paczkami. Pamiętam jak opowiadała, że aby przekazać Ojcu paczkę musiała strażników przekupywać samogonem. Robiły to zresztą wszystkie kobiety, tłumnie oblegające mury więzienia.

Zbliżał się koniec wojny. Mama i moja starsza siostra zaczęły pracować w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym. Dzień ogłoszenia końca wojny nie oznaczał dla Polaków tu zamieszkałych nic dobrego, ogarniało nas jeszcze większe przygnębienie i smutek, jedynie przybyli tu Rosjanie i wojsko manifestowali swoją radość.

W intencji Ojca, w dniu Jego Imienin - 24 czerwca 1945 r. w oszmiańskim kościele pod wezwaniem Św. Michała Archanioła, przystąpiłam do Pierwszej Komunii Św. Zachowało się z tego dnia zdjęcie dziewczynki o bardzo smutnej twarzy.

Zaraz po zakończeniu wojny, pokazała też swoje oblicze bardzo bolesna sprawa Ukrainy. Ukraina, gnębiona i wyniszczona przez Stalina, zaczęła pokładać swoje nadzieje we współpracy z Niemcami. Ogólnie znani byli ukraińscy narodowcy zorganizowani na wzór gestapo, okrutni szczególnie podczas likwidacji ludności żydowskiej. Normalna jednak ludność ukraińska, a szczególnie chłopci z kołchozów, którzy odzyskali swoją ziemię, poczuli się autentycznie wolni. Kiedy jednak Niemcy zaczęli przegrywać i cofać się - nie przesadzę wiele jeżeli powiem, że chyba cała Ukraina uciekała razem z nimi. Pamiętam, jak zszosą dniami i nocami ciągnęły całe potoki ludzi wraz z dobytkiem - końmi, wozami, krowami... Kiedy się jednak wojna skończyła, władza sowiecka skierowała ich z powrotem a później rozprawiła się wsadzając do więzień i łagrów. Ojciec z więzienia przemycał grypsy, radząc Mamie co ma robić - jeszcze niektóre zachowały się dotychczas. Mama bez przerwy czyniła starania o uwolnienie ojca. Pojechała do Kraśnego, gdzie od ludności białoruskiej zebrała podpi-

sy, które na rozprawie sądowej, miały świadczyć na rzecz uwolnienia, gdyż Ojciec jako kierownik szkoły był ogólnie lubiany i poważany. Ta lista z podpisami zachowała się do tej pory. Przeczyło to pewnemu komuniście z Kraśnego, który występując podczas procesu oskarżał Ojca, że popierał obszarników, krzywdząc tym samym chłopów (i inne t.p.).

Latem 1945 r. Mama z ramienia PUR-u, jako kierownik transportu, pojechała do Warszawy. Będąc w Warszawie udała się do Związku Nauczycielstwa Polskiego i tam zastała na kierowniczym stanowisku dawnego kolegę Ojca jeszcze z działalności w ZNP w Mołodecznie - p. Czesława Wycecha - późniejszego znanego działacza państwowego PRL.

W ZNP z ogromną ciekawością i uwagą słuchano opowiadań Mamy o tym, co dzieje się na Kresach. Obiecywano też pomoc w staraniach o uwolnienie Ojca. Podobno ZNP interweniował, nie odniosło to jednak żadnego skutku.

Ja z siostrą, pod opieką Dziadka, nadal przebywałyśmy w Oszmianie, czekając na powrót Mamy.

We wrześniu 1945 r. Ojciec został skazany na 10 lat pracy w łagrze. Przed ogłoszeniem wyroku, jak opowiadał ojciec po powrocie w 1956 r., w więzieniu miało miejsce następujące zdarzenie. Posadzono wtedy Ojca w celi razem z innym młodym Polakiem, którego chciano skazać i wywieźć do łagru, ale nie było nikogo, kto na rozprawie sądowej, świadczyłby przeciw niemu. I otóż w zamysłach enkawudzystów, taką rolę, fałszywego świadka, miałby spełnić mój Ojciec. Przedstawiono propozycję, obiecując w zamian zwolnienie z więzienia. Ojciec na to bardzo się oburzył i w sposób emocjonalny odpowiedział: "Ja waszym szpionom nie budę" (tzn. ja waszym szpiegiem nie będę). Na taką odpowiedź oficer śledczy zareagował ze złością i odesłał Ojca do celi. Później bardzo szybko zapadł wyrok i Ojca najpierw wywieziono do więzienia przejściowego w Mińsku, a później do łagru w Ugliczu n/Wołgą.

Po zapadnięciu wyroku i przed zsyłką do łagru pozwolono Ojcu na pożegnanie się z Rodziną. Na to pożegnanie do siedziby NKWD poszłam razem z Mamą. Pamiętam jak wprowadzono nas do jakiegoś pokoju, gdzie Ojciec stał wśród strażników taki biedny, smutny. Podbiegłam spontanicznie, objęliśmy się, płakaliśmy. Wspomnienie o tym jeszcze dzisiaj wyciska mi łzy z oczu. Później, kiedy wyszłyśmy z budynku, Mama pólżywa ukłękła przed budynkiem i płacząc głośno modliła się.

W niedługim czasie po tym przyszła do nas w aureoli "prawa", młoda enkawudzistka i oznajmiła, że musi zarekwirować połowę mienia na poczet skazanego. Cały nasz majątek był wtedy bardzo skromny - składał się z tego, co zdaliśmy przywieźć na konnym wozie. Bezczelna i bezlitosna enkawudzistka z wielkim tupetem zabrała się do dzieła - wyciągnęła ubrania, bieliznę pościelową i osobistą oraz inne rzeczy codziennego użytku i połowę rekwirowała. Siostra wtedy zaczęła płakać i krzyżeć, że trzeba jak najszybciej od bolszewików uciekać do Polski, na co ona z wielką pewnością siebie odpowiedziała "nikuda ot nas i tak nie ujdiesz, w Polskę tożę budiem" (tzn. nigdzie od nas i tak nie uciekniesz, w Polskę też będziemy). Wypowiedź ta pozwoliła zorientować się, jak świetnie pod względem politycznym została wyszkolona.

Mama widząc, że zostaniemy wręcz ogołoceni i wiedząc jak niskie jest morale tej kadry i jak łatwo dają się przekupić, zaproponowała jej aby w protokóle umieścić znacznie mniej rzeczy, a w zamian za to część będzie mogła zabrać dla siebie. Bardzo chętnie przystała na tę propozycję, a szczególnie spodobała jej się nasza bielizna pościelowa - takiej po prostu nie widziała na oczy.

Było bardzo ciężko, ale trzeba było jakoś dalej żyć. Po porozumieniu się w ostatniej korespondencji z Ojcem, która nadeszła jeszcze z Mińska (z łagru do Polski już nic nie docierało) zaczęliśmy się przygotowywać do wyjazdu do Polski.

Ja, po wakacjach, jeszcze parę miesięcy uczęszczałam do szkoły. Grono nauczycielskie stanowili już prawie sami Rosjanie, specjalnie tu ściągnięci. Pamiętam jak naśmiewano się ze mnie, kiedy do zdań rosyjskich wtrącałam polonizmy lub źle stawiałam akcent. "Direktor" szkoły stosował wobec uczniów wręcz represyjne metody wychowania, i tak np. w sposób szczególnie traktował spóźniających się do szkoły uczniów. Kiedyś i ja spóźniłam się kilka minut. Wszystkich spóźnialskich ustawił na szkolnym placu, w szeregu, a potem pokrzykując i poganiając, kazał nam biegać dookoła placu, aż do utraty tchu. Była to taka sowiecka musztra jak w wojsku, za przewinienia. My uczniowie odczuwaliśmy to jako wielkie upokorzenie. Tak bardzo tęskniłam wtedy do normalnej, polskiej szkoły.

Transport repatriacyjny do Polski, którym mieliśmy wyjechać i którego kierowniczką została moja Mama, wyruszył późną jesienią 1945 r. Był to długi rząd towarowych wagonów z małymi okienkami u góry. Trasa przejazdu prowadziła przez Wilno, Kowno i Prusy Wsch. Kiedy przejeżdżaliśmy Niemen - legendarną rzekę opiewaną w literaturze i pieśniach - z ciekawością wyglądałam przez okienko. Zmierzchało i zrobiło mi się wtedy bardzo smutno, bo wiedziałam, że na zawsze żegnamy te nasze ukochane strony.

Z reguły transportami do Polski byli przemyciani ukrywający się AK-owcy. Największe zagrożenie dla nich stanowiło oczywiście przejście graniczne, sprawę więc trzeba było dobrze przemyśleć, aby sowiecka straż graniczna ich nie złapała. W kierownictwie transportu oprócz mojej Mamy, było jeszcze kilku energicznych mężczyzn i wspólnie całą sprawę sprytnie przeprowadzono. Przed przejściem granicznym AK-owcy ukryli się we wszystkich możliwych miejscach, a w pierwszym wagonie przygotowano stół zastawiony najlepszymi, na jakie wtedy tylko było stać, wiktuałami i oczywiście samogonem. Oficerowie straży granicznej, którzy rewidowali i sprawdzali dokumenty, umiejętnie zostali skierowani najpierw do wagonu z przygotowaną ucztą, przy czym nadmieniono, że po skończeniu rewizji są tu właśnie proszeni na poczęstunek. I jak przewidywano wszystko odbyło się szybko, sprawnie i bez żadnych zakłóceń. Rewizję przeprowadzono bardzo pobieżnie, gdyż strażnicy chcieli jak najszybciej znaleźć się przy stole. Po uczcie nasz transport bez żadnych już przeszkód przekroczył granicę. Dojechalśmy do Bartoszczy, gdzie transport został rozwiązany. Później znaleźliśmy się w Białymstoku, skąd wyjechalśmy do Suwałk, gdzie mieszkał brat mojej Mamy a mój wuj.

Dobiegał końca rok 1945.

(Warszawa, listopad 1993 r.)



Fot. 1. Jan Niewiadomski jako student,
Petersburg, ok. 1915 r.



Fot. 2. Jadwiga Niewiadomska (auto-
rka wspomnień) - I Komunia św.,
Oszmiana (Wileńszczyzna), 1945 r.



Fot. 3. Jadwiga (z d. Zaleska) i Jan Niewiadomscy, (Wilno, ok. 1930 r.) - rodzice
autorki wspomnień.



Fot. 4. Żeńska drużyna harcerska przy Szkole Powszechnej w Kraśnem (woj. wileńskie), 1934 r. W środku - Jan Niewiadomski, kierownik szkoły.



Fot. 5. Grono nauczycielskie, Kraśne, ok. 1936 r. Od prawej: Jadwiga (czwarta), Jan Niewiadomski (szósty) - rodzice autorki wspomnień; druga od lewej - Regina, siostra autorki.



Fot. 6. Jasełka w kasynie oficerskim, Kraśne, 1938 r. Piąta od lewej (w pierwszym rzędzie, w białej sukience) - autorka wspomnień.

Wszystkie fotografie ze zbiorów Autorki wspomnień. Reprodukcje wykonał T. Stani.